№ 23.

Warszawa, dnia 6 Czerwca 1863 r. 25 Maja.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom daw iéj Krzemińskiego.*

HYGIENA WODNA I GIMNASTYCZNA.

Brantôme wspomina z wielkiem podziwieniem o piękności xiężnéj Valentinois, chociaż kiedy ją pierwszy raz ujrzał, Diana Poitiers liczyła już wówczas więcéj niż lat 60! Bezimienny autor Mémoires d'un bourgeois de Paris, unosi się również nad tą pięknością i przypisuje ją płynom, magicznym czarom i piciu roztworu złota. Opowiadają, że pewna czarownica nigdy nie opuszczała ulubienicy Henryka II; że razu pewnego, kiedy ojciec jéj, pan na Saint-Vallier, skazał na szubienicę bandę cyganów, córka wstawiła się za młodą dziewczyną jéj wieku.

— Bóg Cię natchnął tym czynem miłosierdzia, ona twe szczęście, wykrzyknęła matka ocalonéj ofiary. Uwolnij mą córkę od stryczka! ja ją nauczyłam wielu tajemnic. Jesteś bladą, ona twe lica pięknym pokryje rumieńcem; jesteś cierpiącą, ona ci da zdrowie; jesteś słabą, ona ci da siłę! Słuchaj jéj rady, a zyszczesz piękność, któréj nie uszkodzi ząb srogiego czasu!

Diana ocaliła młodą Czeszkę i przywiązała do swego boku, która jéj odtąd nie odstąpiła nigdy. Nazywano ją żartobliwie u dworu cieniem xiężniczki.

Z chwilą adoptacji przez Dianę nowa panna służąca mająca lat 11, udzieliła przepis postępowania, w którym poleciła swéj młodéj pani, wstawać rano równo ze słońcem, kąpać się w zimnéj wodzie, potém ubrawszy się wsiąść na wierzchowca i cwałować jednę lub dwie mile (1). Wróciwszy do domu miała zjeść dobre i smaczne śniadanie, a około południa kazała znów oblać całe ciało obfitém strumieniem zimnéj wody.

Od tego czasu szybkim krokiem nędzne dziecko wyrosło na silną pełną życia i wdzięku dziewicę. Deszcz, wiatr, zima, śnieg, gorąco, mróz, przeciąg najmniejszego szkodliwego wpływu na zdrowie jéj nie wywierały. Diana jednego dnia nie opuściła, nie stosując się do reguł Czeszki; z surową dokładnością przestrzegała zlewań i ćwi-

(1) Ponieważ niekażdy może posiadać wierzchowca, sądzimy więc że cwałowanie na nim wybornie zastąpi piesza przechadzka, któréj wielu, szczególniéj Panie nasze, bardzo mało używa. Idzie tu bowiem jedynie o ruch tak niezbędny w utrzymaniu zdrowia, a nie dający się niczem zastąpić, nawet najmądrzéj pomyślanemi preparatami aptecznemi. (przyp. Red.)

czenia fizycznego, którym zawdzięczała piękność nieporównaną i niezmienną.

Po swém owdowieniu, kiedy rzuciła stary zamek ojców i dzikie góry Delfinatu, nie zaniedbała wykonywać tych przepisów hygienicznych mimo podróży ze dworem i władzy, jaką miała. Doszła też podeszłego wieku, nie doznawszy nawet lekkiéj słabości; 40 lat mając zdobyła miłość Henryka II, umarła w r. 66 skutkiem upadku, w którym złamała nogę wyżéj kolana. Do ostatniéj przecież chwili zachowywała idealną piękność całéj swéj budowy, jaką Jean Goujou unieśmiertelnił wielu dziełami swéj mistrzowskiéj sztuki.

Długo szukano, nie mogąc znaleść, sekretów magicznych Czeszki i Diany Poitiers. Dziś je znamy. Jest to hydroterapia i gimnastyka.

Trudno jednak było je znaleźć w wieku XVI, kiedy w Francji czystość i hygiena były w najzupełniejszém zaniedbaniu. Za Ludwika XIV ludzie zaszli tak daleko w tém niepojętém niedbalstwie, że jedną kąpiei brali na rok, a Fagon, zalecając ochędóztwo, kazał ją brać na wiosnę.

Król ten pomimo wielkości, przyznanéj mu przez historją nigdy twarzy wodą nie zmaczał. Rano kamerdyner zwykle podawał mu w łóżku perukę przez kotarę odchylaną, monarcha przybrawszy się w ogromoy ten czepiec, wychodził z alkowy i brał koszulę z rąk jednego z wielkich panów u dworu, albo xięcia krwi czystéj, jeśli był obecny. Poczém przywdziawszy suknie zaginał koronkowe mankiety i lano mu winny spirytus na ręce; na tém konczyło się zwyczajne umycie. Tak czytamy w Pamiętnikach Saint-Simona.

Dziś, dzięki Bogu, mamy kąpiele, mamy łaźnie, które w Paryżu znajdują się na każdej z najbiedniéjszych niemal ulicy. Szkoły tamtejsze pływania ledwo w lecie mogą pomieścić osoby pragnące z niéj korzystać, Hydroterapia zaś długo zaniedbana przez ciało medyczne, przypuszczoną została do liczby najskuteczniejszych środków na choroby nerwowe, jako nadające mięśniom siłę i harmonijny rozwój, uśmierzające pewne febry, nie ustępojace chinie. Zrozumiana zaś tak, jak przepisaną była przoz Czeszkę, Dianie Poitiers, połączyła się z gimnastyką, jako wybornie ją wspierającą.

Z początku o hydroterapii, nie miano żadnéj opinii. Mimo Rzymian, którzy za nią przemawiali, mimo Hippokratesa, który wielbił uśmierzające i przeciwgorączkowe własnosci wody, Priessnitz uważany był za szarlatana, a na metodę jego powstawano wszelkiemi sposobami.

Wincenty Priessnitz, urodzony przy szczycie Graefenbergu, pod Freiwaldau, między górami austriackiego Szląska, wyniesionemi 1,800 stóp nad poziom morza, uważał, że konie ojca, wywinąwszy nogę, dostawszy kontuzji albo nabrzmiałości, zawsze leczone były z najlepszym skutkiem okładami zimnéj wody, i że parobcy na folwarku w podobnych wypadkach na sobie doświadczanych nie używali nic innego do leczenia tylko także okładów z zimnéj wody.

Roku 1806 w czasie przejażdżki, zrzuciwszy go koń dziki na ziemię, skaleczył mu twarz uderzeniem kopyt, kontuzjował ciężko lewe ramię i złamał dwa żebra. Wezwauy chirurg opatrzywszy poranionego i wyauskultowawszy, oświadczył, że pacient jeśli nie umrze, zostanie cierpiącym i kaleką na zawsze.

Wincenty dowiedziawszy się o tym wyroku, postanowił leczyć się sam, i opierając się piersią o krawędź krzesła, a zatrzymując oddech, nadawał żebrom prawdziwy kierunek, kładł przytém kompressy bezustannie zwilżane, pił wodę obficie i wkrótce rzeczywiście przyszedł do zupełnego zdrowia.

Cudowne to wyleczenie zrobiło tak wielkie wrażenie na tych, co byli świadkami tego prostego postępowania, że wieść o niém rozeszła się po całych Niemczech. Chorzy massami zaczęli przyjeżdżać do Priessnitza aby zasięgnąć jego rady, i góral, jak Sganarell Moliera, został nagle lekarzem mimo woli. W roku nareszcie 1830 rząd austrjacki sprawdziwszy głoszone szczegóły i używaną metodę, upoważnił nowego lekarza do przyjmowania chorych i leczenia ich wedle wynalezionego przez siebie sposobu. Napływ więc chorych powiększyl się, tak że w roku 1842 już 1116 osób ze wszystkich stron Europy przybyło do Graefenberga poddać się leczeniu zimną wodą,

Ale każdy nowy pomysł, szczególniéj w medycynie, pomyślnym uwieńczony skutkiem nie długo umie się utrzymać w sferze umiarkowania, dla tego też i Priessnitz może trochę za daleko posunął zastosowanie wody terapeutyczne. Dziwić się jednak temu nie można, gdy Broussais, ten geniusz wielki, pomimo swéj nauki, doszedł wkońcu do tego, że znał tylko 2 środki: pijawki i upuszczenia krwi. Priessnitz, działalnośc wody pod rozmaitemi zastosowywał kształtami: przepisywał ją na wewnątrz i zewnątrz, w kąpielach, tuszach, nakrapianiach, napojach, kompressach, prześcieradłach wilgotnych, i t. p. Ożywia ona, powiadał, osłabionych chorych, pokonywa zapalenie, obudza czynność skóry, odświeża ją, nie zna choroby, któraby jéj nie uległa, i przedłuża życie poza zwyczajne granice. Przesadą tą w pochwałach, mimowolnie Priessnitz hydroterapii zaszkodził, a przy-

pisując jéj własności, jakich nie posiadała, znalazł wielu przeciwników, faktami dowodzących swego twierdzenia.

Dzisiaj zgłębiono bez uprzedzenia, bez namiętności, z krwią zimną, metodę niemieckiego Praktyka; wystawiono ją na próbę szału i doświadczenia, obrano ją, ze wszystkiego, co było w niéj fałszywego i dlatego nic brakuje już na licznych pomyślnych wyleczeniach, nie mówię niezaprzeczonych, bo czemu dzisiaj nie przeczą? ale niezaprzeczalnych.

Dr. Fleury, założył pierwszy we Francji zakład wodny racionalny w Bellevue i udoskonaliwszy go sprostował zarazem manipulacje nieco szarlatańskie szkoły niemieckiéj. Dzięki jemu, nie ma już teraz tysiącznych małych męczarni jakie następcy Priessnitza wymyślili.

Kąpiele w zimnéj sadzawce, pomysłowe tusze, od cienkiéj strużki do potężnéj kolumny wodnéj, nadają siłę naturom wycieńczonym pracą, albo umysłowym i fizycznym trudem. Febry uporczywe ulegają wyleczeniu, nietrwającém niekiedy nad dni kilka. Większa część Szpitalów Paryzkich ma już przyrządy hydroterapeutyczne.

DZIEŃ I NOC.

Dla mnie jest dzień, gdy praca pośpiesza,
Gdy się roi lud, z sierpem albo kosą;
Dla mnie jest noc, gdy usypia rzesza
Tych co wspólny trud, przodując nam niosą.
Dla mnie jest dzień, gdy słońca promienie
Tworzą cudny blask nad męczeńską skronią;
Dla mnie jest noc, gdy posępne cienie
Kryją źródło łask, zdrad i fałszów tonią.
Dla mnie jest dzień, kiedy świat jaśnieje
Promieniem tych wiar, co nam przyszłość dają;
Dla mnie jest noc, gdy piękne nadzieje
Wśród chaosu mar więdną i znikają.
Dla mnie jest dzień, gdy światło miłości
Łączy z dłonią dłoń idących na gody;
Dla mnie jest noc, gdy pomroka złości
Pogrąża nas w toń kłótni i niezgody.
Dla mnie jest dzień, kiedy dojrzę okiem
Każdy czynu krok, każdą pracy drogę;
Dla mnie jest noc, gdy ciemny pomrokiem
Wciąż wytężam wzrok, a widzieć nie mogę.
Dla mnje jest dzień, kiedy wszystko żyje,
Kiedy piękny świat, jest jedności światem;
Dla mnie jest noc, gdy cień prawdę kryje,
Gdy niebaczny brat, gardzi własnym bratem.

L. Niemojowski.

* * *

Obecnie Krakowianie bardzo są zajęci wystawą malarską urządzoną przez Towarzystwo sztuk pięknych w Krakowie, która wbrew wszelkim nieprzychylnym prognostykom, jest liczniejszą niż się spodziewano. Obrazy składające wystawę, po największéj części nadesłane zostały przez artystów miejscowych lub rodaków naszych bawiących dla kształcenia się za granicą; niektórzy jednak i z Warszawskich malarzy przyłączyli się do tego artystycznego kółka.

Korrespondencje odbierane z Krakowa, podają szczegółowe opisy prac malarskich zgromadzonych na Wystawie; z niektóremi zatém pragnę zapoznać bliżéj Czytelniczki Tygodnika. Pan Starzyński przebywający obecnie w Rzymie nadesłał obraz Zosi z Pana Tadeusza, owéj nieporównanéj Zosi, którą można w niezliczonych momentach dziewiczego jéj życia przedstawiać, i zawsze będzie świeżą czarującą Zosią. Mickiewicz na tę swoją najudatniejszą kreację, wysypał całe bogactwo uczucia i fantazji, a pan Starzyński zaraz w pierwszéj pieśni poematu, znalazł przedmiot dla siebie, gdy Tadeusz:

,,Przypadkiem oczy podniósł, i tuż na parkanie,
Stała młoda dziewczyna. Białe jéj ubranie
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje
Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję.
W takim tylko Litwinka zwykła chodzić z rana,
W takim nigdy od mężczyzn nie bywa widziana:
Więc choć świadka nie miała, założyła ręce
Na piersiach przydawając zasłony sukience,
Włos w pukle nie rozwity, lecz w węzełki małe,
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,
Dziwnie ozdabiał głowę: bo od słońca blasku
Swiecił się jak korona na świętych obrazku.
. . . . Zwrócona na pole
Szukała kogoś okiem, daleko na dole....”

Artysta idąc za tym ustępem, przedstawił jakby taras przed domem pełen kwiatów i pnących się roślin, a na nim, na krawędzi stojącą smukłą postać dziewczęcia w bieli, z wiankiem papilotów, z rączkami złożonemi na piersi, upatrującą kogoś w oddali i nieprzeczuwającą nawet, że przez okno przypatruje się jéj mężczyzna. Przypadkowy ten świadek to pan Tadeusz, ale o ile Zosia mistrzowsko oddana o tyle długowłosy jegomość wyglądający na flegmatycznego bursza, razi trywialną prozą.

Cała część krajobrazu, gdzie widać grupy drzew różnokształtnych, powiązanych festonami chmielu lub dzikiego wina i tak romantycznie pozłoconych odblaskiem słońca, zachwyca oko patrzącego, który w duszy dziękują artyście, że do téj czarodziejki w bieli, otoczonéj gałązkami jak bóstwo miłości, stworzył tło tak harmonijne, tak przypominające charakter dawnych naszych sadów. Pomimo jednak całego przepychu fantazji, brak tu takiego dworku o jakim marzył Mickiewicz a jaki nie mógł wyglądać tak modnie jak go p. Starzyński przedstawił.

Bywają u nas w staroświeckich siedzibach wiejskich tak malownicze przystawki, a przytém tak właściwe owym czasom, że tylko taki zakątek mógłby nie razić na tym obrazie. Niskie okienko, przyzba, deska położona na oknie po któréj wybiegła Zosia, cała sielanka z takim wdziękiem przez Mickiewicza przedstawiona, znikła przy téj symetrycznie murowanéj kamienicy. Oto strony ujemne téj kompozycji, ale za to Zosia za wszystko starczy i patrząc na nią reszty się nie widzi.

January Suchodolski nadesłał pokój szlachecki z XVIII wieku, w którym letni już gospodarz gra w marjasza z księdzem Plebanem. Małżonka porze złote galony, a córa gra na klawikordzie, przy niéj stoi młody człowiek widocznie konkurent do panny a może i do szkatuły ojcowskiéj, i śpiewa ze znanego poloneza:

Z wysokich parnasów,
Niezbyt dawnych czasów

następującą strofkę:

Ach! jakżeś okrutna,
Srodze bałamutna,
Prędzéjby i skała,
Poruszyć się dała,
A! pfe mościa panno
Być taką...

Spiew ten widać że rzeczywiście maluje stosunek téj młodéj pary, bo kiedy niechętnie przyjmowany adonis w najlepsze wyciąga trele, wchodzi drugi młodzioniec, panna z miłym wyrazem twarzy odwraca się ku niemu, a mały piesek domowy łasi się z radością do wchodzącego. Na ścianach wiszą portrety przodków, całe otoczenie trąci zeszłym wiekiem, ubiory i postacie żywcem nie malowane ale jakby sfotografowane z ubiegłéj przeszłości. Widzisz i powagę staropolską i sztywność salonową i galanterją francnzką czasów minionych.

W obrazie Matejki, którego Jan Kazimierz i Urszulka Kochanowska znane są z Wystawy Warszawskiéj, przedstawiony jest Stańczyk na dworze Zygmunta I. Trefniś ten według opisu Gościckiego i innych współczesnych był pełnym uczucia i trafnego dowcipu, artysta więc w tym charakterze starał się uwydatnić tę postać historyczną. Dwór baluje i weseli się, a Stańczyk zadumany ukryty w kątku smutnie poglada na kometę, którą widać w dali na ciemném tle nieba, jakby myślą szedł w przyszłość i odpychał niemiłe natrętne obrazy.

Za pojęcie i przedstawienie takie, a nie inne trefnisia polskiego, wdzięczni jesteśmy p. Matejce, u nas bowiem obywatelstwo, miłość kraju, a szczególniéj uczucia prawdziwie ludzkie, odrywające od ziemi i jéj drobnostek, tak gdy były rozwinięte, że nawet trefniś nie mógł być owym prostym błaznem germańskim, czczym i jałowym, jak spięty dziwaczny i pstry jego ubiór, ale mężem dobro kraju mającym na pierwszym względzie. Dlatego humoru u nas nigdy nie brakuje, znajdzie się on w książce, w ustach, w rysunku, ale brak nam zawsze było i jest, prostych blaznów, płaskością i trywialnością przemawiających do gawiedzi, i tych zwykle jak do cyrków sztucznych jezdzców, sprowadzamy sobie z Niemiec.

Stańczyk więc mimo humoru i dowcipu, musiał miewać chwile powagi i zamyślenia, i w takiém to usposobieniu duszy rozważającéj cudowne na niebie zjawisko, przedstawił go p. Matejko.

Najoryginalniejszy z krajobrazów, a nawet mogący wytrzymać porównanie z pejzażami Niemców i Belgów znajdującemi się na wystawie, jest widok kościołka świętéj Anny pod Nowym Targiem, przez Gersona z Warszawy. Drewniany góralski kościołek, kilka drzewek koło niego, rozległy horyzont z pasmem Tatrów, wszystko to nosi osobny charakter naszych górskich widoków i górskiego powietrza. Czujesz że chłód panuje na téj wysokości, słońce nawet świeci nie tak jak gdzieindziéj, bo ten cień od drzewa odbijający się na kościołku pobitym gontami, jakiś blady i przejżysty. Takiego pejzażu nikt nie stworzy, kto nie był na miejscu, i kto nie wżył się w tajemnice téj dzikiéj natury. Talent p. Gersona po mistrzowsku umie się porozumiewać z naturą naszych gór i pól. Drzewa nawet mają typ odmienny, czujesz że kamienny i zimny grunt był ich matką, tak skąpo liściem okryte, tak nieśmiało strzelają do góry. W obłokach poruszanych wiecznie jakby kaprysem natury maluje się charakter odpowiedni miejscowości.

Szuppe Alfred, którego sumienne prace zwróciły powszechną uwagę, obdarzył Wystawę widokiem Oliwy, klasztoru pod Gdańskiem, pamiętne-

go traktatem za Jana Kazimierza, a przytém zalecającego się czarującém położeniem, najpiękniéjszém jakie spotyka się na wybrzeżu baltyckiém. Artysta robił swój pejzaż z wyższego punktu. i dlatego nad massą zieleniejących drzew przelatuje oko i tonie w nieskończoności morza.

O naszéj Wystawie powiemy późniéj, w zakończeniu jednak opisu niektórych obrazów Wystawy Krakowskiéj, zrobimy wzmiankę o pracy Lessinga, Huss przed stosem, który wystawiony w Lipsku: nabyty został przez króla pruskiego za 15,000 talarów. Pomijając wykonanie znakomite tego wspaniałego dzieła, główną jego dla Niemiec wartość stanowi idea męczennika za prawdę, który śmiercią swą świadczy o głębokiéj wierze. Huss jest praojcem protestantyzmu, lecz Niemcy, którzy się nań z takiem patrzą poszanowaniem, tak chlubią i wynoszą, nie chcą żadnym sposobem pamiętać, że był Czechem i Sławianinem.

Z historycznych obrazów dzisiejszych i dawniejszych znajdujących się na Wystawie w Krakowie, szczególniéj zwracają na siebie uwagę: S. Jadwiga szukająca syna. S. Kunegunda między górnikami w chwili znalezienia pierścienia w bryle soli. Ustęp z życia Głowackiego. Weteran żebrak. Kościuszko po bitwie. Jakób i Konstanty Sobiescy w zamku Koenigstejnie. Apoteoza r. 1863. obraz z poematu Słowackiego ze słów: Więc Szaman wziąwszy kaganiec wszedł do lochu po rozwalonych kamieniach, a za nim.... i t. d.

Obraz: Żal wieśniaków po śmierci Kazimierza wielkiego, przedstawia gruppę włościan przy grobowcu tego wielkiego monarchy znajdującym się na Wawelu. Daléj idą: powrót jeńca przez księży Trynitarzy polskich wykupionego ongi z jassyży Trynitarzy polskich wykupionego ongi z jassyru tureckiego. Anna Jagiellonka siedząca w krześle staroświeckiem i wpatrująca się w portret Stefana Batorego stojący obok niéj w ramach przepysznych, odwiecznych; i wreszcie chłop krakowski przy mogile Wandy, przy księżycowem oświetleniu.

Umyślnie temata historycznych obrazów Krakowskiéj wystawy wymieniłem, aby wykazać dowodnie, że dramatyczność wszędzie wydobyć można, że rzeczy wstrętne, okrutne, niemiłe, właśnie dla tego zwykle nie są dramatycznemi, i że tylko poszperać w historji, a przedmiotów nie braknie, zarówno pięknych, zajmujących jak prawdziwie dramatycznych.

Żeby z nastroju artystycznego z jakim rozpocząłem dzisiejszą gawędę, nie zniżyć się do poziomych prozaicznych drobnostek żywota ludzkiego, i utrzymać się na jednéj wysokości, donoszę Wam o wyjściu we Lwowie poezji Michała Suchorowskiego a raczéj mrzonek wyrośniętych z idealnych pragnień zaczerpniętych w sferach już co najmniéj niebiesko-gwiaździstych. Tytuł który tu cały wypisuję, bo po tytule można poznać co jest w szkatule, brzmi jak następuje: „Szczytna pieśń Sławianów w dziesięci mowlach pobratymczych na pamiątkę obchodu rocznlcy tysiącoletniéj uroczystości zaprowadzenia chrześcijaństwa przez sławiańskich wysłanników S.S. Cyryljusza i Strachotę na rok pański 1863 w jedno abecadło w jedną miarę i w jeden śpiew ułożona, wraz z innemi ustępami ze Sławji, Polonjady i Marjady z gromadną gędźbą i ryciną wszystkich pokoleń sławiańskich, tudzież z podobiznami najuczeńszych mężów sławonarodnych, własnym nakładem ozdobnie wydał Michał Suchorowski”.

Oprócz pieśni Sławian w rozmaitych pomieszczonych językach, główną treść książeczki stanowią własne poezje autora, że jednak przewodnią myślą jego jest idea sławiańska, więc poezje pisane są nie zupełnie polskim językiem, ale jakby nowo utworzonym, z wyrazami nowo wymyślonemi, niby coś odpowiedniemi wymarzonéj przyszłości.

„Celem tych pieśni, powiada autor w przedmowie, jest luba jednota wszystkich ludów sławiańskich w wierze Chrystusa, która trojne i błogie wydała owoce.” Apostołów nazywa *radowiestnikami*, a wstępny wiersz rozpoczyna się tak:

Wieszcz cytem świętym, wstecz a wstecz przejęty....
Miotł bystrem okiem na ludów obmęty, (sic)
Gdy orla siła pnie się nad lazury,
Naród sławiański patrzy rado z góry...
Ten się rozsszerzył w olbrzymiéj krajinie,
Co chutnem winem, miodem, mlekiem płynie,
Tu lsniące złoto, srebro i ałmazy,
Grają w łysk, w krzyże nad słońca wyrazy:

Na próbę dosyć i tego, żeby módz sądzić o całości tych *napiewów* jak się autor wyraża.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Biblioteka Warszawska (dokończenie).

Ostatniem miejscem odwiedzin królewskich, był Jarosław w ktorym obdarzony król przez małoletniego jeszcze Zamojskiego, złotą czarą pełną starożytnéj monety, a królowa parą naramienników z drogich klejnotów, wartości 5,000 talarów, statkiem wiślanym powrócił w d. 8 Września do Warszawy, niezadowolony, pochmurny z przeszkód, jakie ciągle napotykał w narodzie. projekt jego upokorzenia raz na zawsze Turków i Tatarow,. Jednocześnie z powrotem królewskim, rozpoczęły się w całym kraju przygotowania na zbliżające się

sejmiki, ogłoszone na d, 13 Września, na których obierać miano posłów na sejm i zaopatrywać ich w instrukcje. Na sejmiki te, garnęli się bardzo skrzętnie panowie, w zamiarze podburzania szlachty do oporu planom królewskim, i dla narzucenia odpowiednich temu posłów i artykułów.

Najczynniejszym był Lubomirski, wojewoda krakowski, bo nie tylko będąc słabym, napisał do braci szłachty przedstawiajac im toń zagłady nad którą zawieszona jest dziś ojczyzna, ale nadto przydał na usługi sejmików rodzonych synów swoich: Jerzego i Aleksandra. Przytém wszystkie instrukcje sejmowe zalecały posłom swoim niezezwalać na wojnę, wykryć jéj sprawców, zażądać rozpuszczenia zaciągów, wysłać posła do Turcji z upewnieniem pokoju, a Tatarom wypłacić zaległe od lat kilku upominki. Ale chociaż panowie burzyli szlachtę, nie przeciw królowi, tylko przeciw wojennym planom królewskim, to jednak rozbudzony opór w szlachcie zasięgnął nierównie szerzéj, i co tylko z jakiejkolwiek przyczyny wstrętném jéj było niegdyś lub teraz, wszystko to teraz odezwało się jawnie i wyszło z ukrycia. Piśminnną tego pamiątką pozostało bezimienne pisemko pod tytułem: Skrypt Diskursem pewnego dworskiego intytułowany w niezwyczajnie licznych odpisach krążące w téj porze pomiędzy szlachtą. Obok listu Lubomirskiego, jest to druga głownia pożogi, ognistsza i szerzéj żarem od owéj wojewodzińskiéj siejęca. bo nietylko potępia samą wojnę, ale i króla stawiając go na równi z nielubionym oddawna kanclerzem Ossolińskim. Król jeszcze chwalony od senatorów, w owym skrypcie przedstawiony jest jako jawny nieprzyjaciel narodu, szukający w wojnie środka nie ukorzenia pogan, ale rozszerzenia swéj władzy i zaprowadzenia rządów absolutnych. Z powszechnie dotąd czczonego, uwielbianego ojca ojczyzny, stał się Władysław IV. obecnie postrachem swoich poddanych, otoczonym sprzysiężonymi na ich wolność cudzoziemcami, knującymi jakieś, niezgruntowane myśli, niepojęte, niedościgłe zamysły, po których nie można spodziewać się czego innego, tylko albo ostatniéj zguby ojczyzny, albo strasznych klimakterików i śmierci pewnéj. Do tego zaś wszystkiego wiedzie króla ów znany wróg wolności i równosci szlacheckiéj kanclerz wiel. kor. Ossoliński, którego zapewnia Skrypt, dawna była intencja, znieść szlachtę i uczynić Polskę państwem rządzoném od możnowładców, za co ktoś sprawiedliwie Richeliusem polskim go nazwał. Przeciw więc Ossolińskiemu, srozsza niż kiedy wybuchła burza, i chociaż kanclerz, niezmiernie ostrożnie postępował z popieraniem wojny, okrzyczano go powszechnie głównym jéj autorem i popieraczem, upatrzono w wojnie dawne możnowładcze zamiary Ossolińskiego, i rozciągnięto niechęć do wszystkich w ogóle możnowładców.

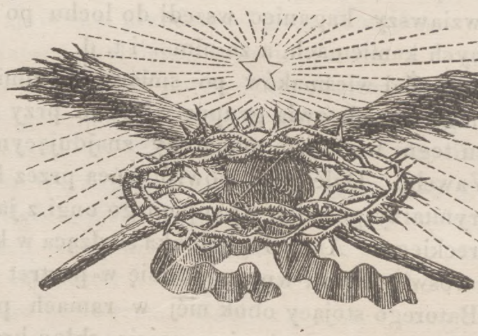
Gdy więc niektóre województwa srożyły się głównie przeciw kanclerzowi, w innych podniosły się głosy przeciw całemu stanowi senatorskiemu, od wieków o chęć wyniesienia się nad szlachtę oskarżonemu, a teraz coraz głośniéj winionemu przez szlachtę, że niedość śmiało oparł się planom królewskim, że trzyma z dworem, że wreszcie popiera Ossolińskiego i sprzyja mu tajemnie. Na czele téj agitacji stanęła Wielkopolska, od najdawniejszych czasów kraj równości szlacheckiéj, przednia straż jéj obrońców. W instrukcji więc sejmiku w Srodzie, zalecono żądać, bardzo zwyczajnéj sceny sejmowéj, to jest poufnéj rozmowy z senatorami w nieobecności królewskiéj. Bywało to zawsze aktem upomnienia senatu przez stan rycerski czyli ogół szlachty, niemiły naturalnie panom senatorom, ale wysoce ceniony przez szlachtę, która w nim jeden z najwolniejszych środków przywróceuia zwichnionéj równowagi stanów widziała. Żądanie więc téj rozmowy, zapowiadało przyszłemu sejmowi głosną walkę obudwóch stanów, ustlną dążnośé do zmiany porządku rzeczy ze szkodą senatorów.

ZADANIO-SZARADA.

Ot szaradka i niedługa,
Niech *to* będżie między *nami*,
A z początku także mamy,
Metal tani *piąta*, *druga*;
Wszyscy znają wnętrze ciała
Na tém kończy się rzecz cała.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Granat**).



Przy ciągłéj jednostajności, jaka panuje w ubraniu, trzeba nadzwyczaj wprawnego oka, aby dośledzić małe odmiany, które się niekiedy spostrzegać dają. Do tych właśnie odmian, należą nadpowietrzne wolanty, zaniedbane przez czas niejaki, i upowszechniające się znowu coraz więcéj. Na dowód przytoczymy tu kilka sukien, wykonanych w tym czasie w magazynie panien Kuhnke.

Jedna z nich czarna z fularu wełnianego czyli tak zwanego *sztoffu*, miała wolant nadpowietrzny szerokości przeszło pół łokcia, fałdowany w kontrafałdy dawane w odstępach. Na samą spódnicę szło brytów pięć, na wolant brytów ośm, szerokość sztoffu wynosi blizko łokieć i pół. Dół wolanta objęty był po prostu sznurkiem, podszyty czarną żaknotową listewką. Nad wolantem w górze cią-

gnął się pas szeroki na cztery palce, naszyty dwa razy pletnią, a w środku pięć razy grubym sutaszem. Po obu stronach tego pasa szły wązkie odwrócone od siebie falbaneczki. Miejsce stanika zastępowała koszulka naszywana w deseń także grubym sutaszem, z wyłożonym kołnierzykiem u szyi, spinana na lawowe guziki. Rękawy jak zwykle u koszulek marszczone od ramienia, ujęte były u ręki w mankiet dosyć szeroki, wyszyty sutaszem. Na bokach spódnicy dane były odpowiednie kieszonki szamerowane w środku, wkoło otoczone falbaneczką.

Suknia czarna, lekka, z bareżu zwanego *florentyną* miała także wolant nadpowietrzny, znacznie rozszerzony po bokach, przez co garnirowanie z obu stron podnosiło się na łokieć w górę. U dołu wolanta szła wązka falbaneczka z czarnéj materji, nad nią druga falbanka bareżowa, a nad tą znów pliska jedwabna na dwa palce. U góry nad wolantem, dany był takiż sam garnirunek: tworzący dwa wielkie zęby po bokach. Stanik pod szyję marszczony, z podszewką wyciętą, rozchodził się nieco na przodzie, i spinał na trzy kokardy. U szyi i wzdłuż przodów, aż do paska, dany był garnirunek, taki sam jak na wolancie, złożony z falbanki jedwabnéj, drugiéj bareżowéj i pliski. Rękawy na pół otwarte przybrane były odpowiednio.

Suknia żaknocikowa czarna w białe listeczki, kończyła się również u dołu nadpowietrznym wolantem, nad którym szła ruszka z gładkiego żaknotu czarnego, obstębnowana z obu stron białym jedwabiem w maszynie. Stanik wkoło marszczony, spięty na guziki miał przyciągane plecy. Rękawy bufiaste marszczone u ramienia, ujęte były u ręki w czarną ruszkę. Wkoło szyi szła podobna rusza, pod którą miał iść stojący biały kołnierzyczek. Szarfa z czarnéj wstążki z białym brzeżkiem, ładnie dopełniała całości.

Moda waży się jeszcze pomiędzy okrągłemi a zwyczajnemi kapeluszami, dotąd ostatnie przeważają, ale zdaje się że z nadejściem letnich upałów, okrągłe jako lżejsze, będą miały pierwszeństwo. W ogóle kształt okrągłych kapelusików tém się różni od zeszłorocznych, że mają główki znacznie wyższe. Widzieliśmy w magazynie pani Klementyny ładny zbiór takich kapeluszy, z główką opasaną dwoma aksamitnemi rulonikami z pęczkiem piór strusich w pośrodku, i białem skrzydełkiem łabędziem. Zowią je *à la Henri III.* Jakoż rzeczywiście widujemy takie kapelusiki na portretach owego króla Francuzkiego, który był także królem Polskim.

Inne kapelusze okrągłe, zwane *Alboni* mają ronko wkoło opuszczone; ozdobę ich stanowią także pióra.

Kapelusiki korsykańskie, mają brzeg odwinięty do główki, obłożony czarnym aksamitem, przybrane są dwoma piórami jedném długiem, drugiem znacznie mniejszém.

Ze zwyczajnych kapeluszy, zwróciła uwagę naszą kapotka z tiulu jedwabnego czarnego, przybrana piórkami strósiemi. Na karczek spadała koronka. Podpięcie składało się z białéj blondynki i bukietu z owsa czarnego. Końce czarne tiulowe przewiązane lekko pod brodą, i szarfy z czarnéj wstążki dopełniały ubrania.

Inna kapotka także tiulowa, przybrana była na brzegu ronda, fałdowaną materją i bukiecikiem z owsa, spadającem na podpięcie. Karczek pokrywała koronka wyrabiana w medaljony, zakończona frendzelką.

Uważaliśmy w tymże magazynie ładne ubiorki na głowę, w kształcie wieńców, mocno podniesionych nad czołem, a zwężonych po bokach. Składają się po większéj części z wstążki i koronki, przepinanych ozdobami z lawy czarnéj. U wielu z nich wstążka przechodzi do tyłu głowy, i wiąże się na kokardę.

Czepeczki mają zawsze kształt okrągły, denko u nich spada na tył głowy przyciągnięte na elastykę, która rozciąga się stosownie do układu włosów. Robią je z tiulu jedwabnego czarnego, lub też w drobny biały rzucik. Wstążka czarna z białem, lub zupełnie czarna, zastosowaną bywa do tiulu.

Woalki czarne w biały rzucik, objęte wszywką białą, należą w tym roku do najmodniejszych. Noszą także czarne illuzjowe, wycickane w biały deseń.

W składzie pana Thonnesa znajdują się ładne koszulki białe półbatystowe i muszlinowe wyszywane sutaszem czarnym. Cena ich od złp. 24 do złp. 40.

Nowości Zagraniczne.

Les modes Parisiennes. Pałetoty, rotondy, kardynałki, takie same jak suknia i przystrojone odpowiednio, wielkiéj w tym roku używają wziętości.

Z pomiędzy sukien wiosennych zwróciła uwagę naszą, popielata jedwabna, wygarnirowana z przodu podwójnie ruszą czarną. Stanik postyljoński, kończył się z tyłu karoczkiem złożonym z trzech okrągłych zębów ogarnirowanych takąż ruszką. Przody z bawetem, oznaczone z obu stron ruszą,

tworzyły niby kaftanik. Rękawy ścięte do łokcia, odpowiedni miały garnirunak, u brzegu i przez środek ręki.

Młode panienki noszą suknie z postylionką z białéj alpagi, wyszywane czarnym sutaszem.

Użycie fularu stało się dziś powszechném. Oprócz fularów w drobny rzucik lub w paski, ukazał się nowy rodzaj w wyborowym gatunku zwany Szang-hai, zupełnie gładki. Z takiego fularu robią suknie z podobnemi rotondami, które garnirują gipiurą.

Co się tycze obuwia, ta ważna zaszła w niém zmiana, że buciki teraźniejsze o wiele są wyższe od dawnych. Do podróży używają powszechnie takich bucików ze skóry kozłowéj. Na wsi noszą trzewiki z kokardami. na wysokich obcasach.

Magasin des demoiselles. Mniéj noszą w ogólności staników z paskami; prawie wszystkin mają z przodu oznaczony kaftaniczek i kamizeleczkę, z tyłu zaś karoczek czworograniasty lub zaokrąglony według woli. Mówiemy tu o sukniach jedwabnych, wełnianych, lub pikowych, muszlinkowe bowiem i bareżowe, noszą powszechnie z szarfą przewiązaną z tyłu. Stanik do tych ostatnich robią z czworograniastym wykrojem u szyi z małą pelerynką; lub téż wysokie podszyte tylko do ramion.

Rękawy używane w ogólności wązkie im lżejsza tkanina tém rękaw może być szerszy; niektóre przepinają w buffy podłużne albo poprzeczne. Spódnice zaczynają fałdować na dawny sposób, w proste pojedyncze fałdy.

Garnirunek u sukien daje się albo u samego dołu, albo téż nad obrębkiem, muszlinkowe garnirują ruszą, wodą lub wązkiemi falbaneczkami, zawracanemi niekiedy w górę na każdym brycie. Cokolwiek cięższe suknie zdobią pasmanterją, lub wyszywają sutaszem Wiele także widać sukien w odpasowany deseń, naśladujący gipiurę, sutasz lub pasmanterją. Suknie bez garnirunku, powinny mieć przynajmniéj bardzo szeroki obrąb.

Kapelusiki okrągłe tak powszechnie używane u wód i na wsi, tém się różnią od zeszłorocznych, że mają główkę wyższą zwężoną nieco w górze. U niektórych boki odwinięte są w górę, u innych spuszczone do koła. Robią je ze słomy angielskiéj brukselskiéj, włoskiéj, albo z włosienia, podszywają ruszą krepową lub jedwabną. Ozdobę ich z wierzchu, stanowią pióra i aksamitne rulony.

Buciki noszą bardzo wysokie sznurowane z przodu, związane w górze na dwa kwaściki. Robią je zazwyczaj z cielęcéj skóry.

Le bon ton. Rotondy rozmaitéj długości stanowią dziś najmodniejsze okrycia Paryżanek. Robią je zazwyczaj z kaszmiru, przybierają niekiedy gipiurowemi wolantami, lub téż wązką koronką i pasmanterją. Burnusiki z koronki wełnianéj czarnéj zwanéj *Yack*, należą także do najmodniejszych.

Opis ryciny.

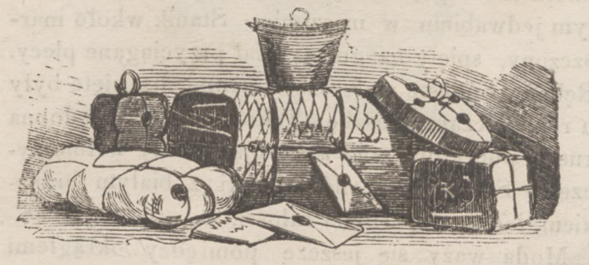
N. 1. Rękawek muszlinowy, garnirowany walansienką i takiemiż wstawkami.

N. 2 i 3. Czepeczki muszlinowe.

N. 4. Czepek tiulowy.

N. 5. *Gabrjela* z czarnego rypsu, przyozdobiona sznurami szmuklerskiemi i kwastami. Rękawy otwarte do łokcia szamerowane sznurem. Kołnierzyk haftowany. Czepeczek tiulowy, ubrany fanszonem ze spadającemi końcami i rozetą wycinaną z materji.

N. 6. *Ubranie panienki.* Suknia biała pikowa, naszyta u dołu wielkiemi liśćmi z tejże saméj piki, z wyszyciem czarnem sutaszowem, garnirowane wkoło wązką gipiurą. Stanik czworograniasty odpowiednio przybrany. Pasek z klapkami z tyłu. Szmizetka i rękawki muszlinowe. Siatka z jedwabnéj plecionki.



Pani Sarnec. Dwa gorsety kosztować będą z przesyłką złp. 80. po odebraniu pięniędzy sprawunek wyślemy.— Pani Anie. Weso. Spodniczki wełniane w czarne i białe paski dostać można od 40 do 80 złp.— Pani Weroni. Jawo. Kapelusze okrągłe białe ryżowe, z czarnemi rondkaml, sprowadzono w tym roku jako nowość. Krawatki białe muszlinowe ciągle używane.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka z modami.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



№ 89.

TYGODNIK MÓD

№ 23.

Dodatek do Nru 23 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 6 Czerwca 1863 roku. *25 Maja.*

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ II.

(Dalszy ciąg).

— At, ba! — porwał się znowu małżonek— niemasz żadnego powodu! Jesteście obiedwie aż nadto *delikatne* istoty — dodał ze słodyczą w spojrzeniu i głosie — ale sąd pod tym względem pozostawcie mnie raczéj. Mam męskie spojrzenie i jednym rzutem obejmę wszystko: jest to sobie *niunia* prawdziwa, nic więcéj. Dość ładna laleczka, ale nie ma żadnych *agasujących* powabów — i coraz silniéj skrobał paznogcie — nic, coby mężczyznę pociągać zdołało, *rien, absolument rien*. Zresztą, co prawda to prawda, że Klocia dużo przy niéj korzysta. Egzaminowałem ją kiedyś: pisze wcale nieźle, uczy się historyi polskiéj, literatury, przywiązała się do niéj .... może właśnie dla tego, że *niunia* at, ciepłe kluski z mlekiem!— i rozśmiał się — *une sainte Nitouche!* Nie mój to *genre*; i też nie tak łatwo potrafiłaby zachwycić kogo, ręczę ci za to. Wierzę — dodał znowu ze znaczącym uśmiechem, nacierając ręce, jakimś wonnym kosmetykiem — wierzę bardzo, że chętnie przeszłaby się za mąż, ale dla panny guwernantki trudno o małżonka .... Łatwiéj wprawdzie o romansik, *mais c'est dangereux!* I dla tego unika się podobnych *amourettek*... Bądź spokojną, Staś jest za nadto *posé* i kocha się w Tyni szalenie ....

— Wiem o tém, rozumiem, ale chodzi mi o przyzwoitość, o honor domu.

— *Racja*, święta *racja!* Lecz Stanisław nie skompromituje go .... prędzéjby Alfons ...

— Uchowaj Boże! przelękła się matka.

— At, niemasz i tutaj obawy, powtarzam. Takich dziewcząt Alfons może mieć tuzinami, a co do żeniaczki, ho! ho! To syn nasz nieodrodny, wychowany dobrze i z pewnemi *maksymami*: nie żeniłby się nigdy tak *niekonsekwentnie*. Nie turbujcie się przeto o *niunię*.

Ta rozmowa, która w powyższy sposób jeszcze dłużéj potrwała, całkiem uśmierzyła zalarmowaną matkę, a następnie i córkę — i skończyło się na kilku z góry rzuconych spojrzeniach na Annę, i na uśmiechach porozumiawczych z Łasińskim.

Z notatek Anny.

„12 kwietnia"

„Miałam dziś znowu list od kochanéj mateczki — w trzy dni napisany po tamtym, który tyle mnie zmartwił — i uspokoił mnie znacznie: babce jest lepiéj, doktór wszelako kazał jéj jeszcze w łóżku pozostać. Mateczka także swobodniéj na przyszłość spogląda i o powrocie wspomina. Ale kiedy?!

Miałam i od Julki list — biedne dziecko!— Byłabym ją chętnie odwiedziła, uściskała — lecz mama nie życzy sobie, bym jeździła do Warszawy, dopóki nie powrócą. A ja słucham jéj każdéj uwagi, jakby przykazania Bożego!

Pan Rożniszewski wyjechał wczoraj do Mrowina — a ztamtąd jedzie z panem Alfonsem w Krakowskie, gdzie także ma dobra, Drzewice, które podobno na wiano dla panny Klementyny przeznacza.

Nastka codziennie przychodzi do mnie. Sprawia ona mi zadowolenie wielkie: nauczyła się czytać dobrze, szyje zupełnie dobrze, umie przykroić co potrzebuje, i wyhaftowała sobie parę ślarek i falbanek do koszul. A jak przywiązała się do mnie! Oddana mi całkiem. Niewielkim trudem — żadnym raczéj, bo to było mi rozrywką — zjednałam sobie *złote serce*. Są osoby. które o tę moją *przyjaźń* — jak ją nazywają— potrącają z ironiją. Nie wiedzą co czynią! Nie pojmują ile zadowala duszę uczynienie komuś przysługi, bo same obfitują we wszystko. Nie poczuły nigdy, ile roskoszy przynosi przywiązanie isto-

ty poczciwéj — bo nie miały sposobności zaznać potrzeby tęsknego serca!

Z radością witam młodą wiosnę — och, bo jakże tu pięknie! — Ale i ze łzą sięgam w przeszłość — do Mrowina! — Wiosna więcéj mi go uprzytomnia: moje zajęcia w ogrodzie — moje kwiaty!

Zwiedzam często bibliotekę — bo o ile mogę, szukam ciągłego zatrudnienia umysłowego.

Modlę się o powrót matki i babki — podobno, że opieki ich i rady, nigdy tyle nie potrzebowałam, co teraz.

Jaśnieje mi jakieś szczęście na dnie duszy— gwiazda cudna, błyskotna, ożywcza — ale przytém i dziwny w niéj niepokój. Nie chcę zgłębiać tego, co dzieje się we mnie — uciekam od własnych myśli — od wspomnień ułudnych, które cały mącą mi spokój: całą mocą odpędzam je, lubo że to nad siły jest moje!... Lękam się tego odmętu myśli, wrażeń, uczuć — i dla tego tak skwapliwie umysłowéj szukam pracy.

Modlę się o powrót mamy i babki!...

„O! i ja tego pragnę, z całéj duszy pragnę!"...— wyrazy te dźwięczą mi ciągle — mam je w myśli — Mój Boże! Mój Boże! — Słyszę ten dźwięk, spojrzenie — i serce tak gwałtownie uderzy, że aż tchu mi nie staje — i obiedwiema dłońmi przycisnąć je muszę! — Po cóż to piszę?? — Boże mój, ja płaczę — lecz łzy te nie bolą!

Matko moja przybywaj! — Och, nigdy jeszcze nauki Twojéj tyle nie potrzebowałam co teraz.

Do pracy umysłowéj — do biblioteki! — Już nigdy takich nie poczynię *notatek!*"

Istniejeż powinowactwo myśli i czynu, dusz, sympatycznym ku sobie pociąganych prądem— a rozdzielonych z sobą przestrzenią i okolicznościami? — chciejmy wierzyć, że tak bywa, nawet i bez wielkich mistycznych środków. Bo w tym samym czasie, gdy Anna w *notatkach* swoich powyższe, uczuciowe nakreśliła wystrzałki, siedział pan Stanisław Wojarowski przy sekretarce swojéj i także kreślił, że aż pióro skrzypiało. Na mocy prawa powieściarskiego zajrzyjmy mu przez ramię, czyli wyrazy jego mają jakowąś styczność z temi, które Anna, bezwiednie niemal na papier rzuciła: *niedyskrecja* ta — (ciekawość) — jest *nam* dozwoloną. Otóż zapisanych już było dwie strony, drobno i gęsto — ale my tylko na trzeciéj, odkrytéj przed nami, czytać możemy, co następuje:

„Czekam niecierpliwie na powrót tych pań podróżnych, bo szczere przedsiewzięcie, by uczuć moich żadnem słówkiem niebaczném, żadném spojrzeniem nie zdradzić, na rozliczne bywa narażona próby. Nie chcę zamącić spokoju téj czystéj a tyle tkliwéj istoty, któréj położenie i tak wielce jest trudném, a przeczuwam, że jéj obojętnym nie jestem!.... Pojmujesz Ty to szczęsne ponad wszelki wyraz uczucie — lecz i walkę zarazem?! — Powinność każe milczeć — i strzegę siebie — a srogie to zadanie! — Raz — dwa— zdradziłem się w obec niéj, już może nazbyt wyraźnie. Poznałem z roskoszą, ale i wyrzutem, że mnie zrozumiała — i zaraz znowu podległem włożonéj na siebie katuszy. Z wrzącém pragnieniem chwytam każdą chwilę, a jednakżeż *niby* jéj unikam — i obojętną nastroję minę: *niby* nim jestem, a nie umiem być całkiem panem siebie. Mam wszelako nadzieję, że w obec drugich pozostałem mistrzem pod tym względem, lubo że tyle oczów niechętnych ją śledzi. Jedna niebaczność zgubną byłaby dla niéj. To wszystko jest mi nieznośném — nienawistém — wstrętliwém: boć to zawsze jest *rola* — komedja — *kłam!* — Ale nateraz, niestety, być inaczéj nie może. Rzecz straszna, że towarzyskie stosunki niewolą nas często do tego, co nam jest obmierzłem! — Zakrawa to niby na brak charakteru — na tchórzostwo ducha — lecz tu *nie o mnie* chodzi!... — Chciałem odwiedziny moje uczynić rzadkiemi — ależ i to nie idzie: zwróciłoby uwagę — zrodziłoby domysły — a tego umikać muszę. Powołuje mnie tam często jeszcze i interes jaki — a wreszcie i wezwania bezprzestanne: należę jako pupil dawniejszy poniekąd do rodzinnego koła....."

Stanisław coś tam jeszcze pisał, potém list złożył, zapieczętował — i włożywszy do torby, przez Jaśka pokojowca na pocztę odesłał.

Potém udał się do domu mieszkalnego, już niemal wykończonego całkiem: stolarz w ostatnim pokoju układał jeszcze posadzkę, a w drugich szklarze i zamkarz swoją kończyli robotę. Przeszedł się po ogrodzie, popatrzał na pracujących pod rozkazami dobrego ogrodnika; poczynił niektóre polecenia: by ku jeziorowi przez łąkę kręty wyprowadzić chodnik, ponad łąką klomb z kwiatów zrobić — a pod klonem na wzgórku ławkę z brzeziny umieścić. Zwrócił się znowu ku oficynie — rozmarzenie jakieś powiało mu na lica— uśmiechnął się niby — krzyknął na Jonka i kazał sobie okułbaczyć konia.

Stajenny niebawem przyprowadził siwka. Pan Stanisław dosiadł go zręcznie, mówiąc:

— A przyjedź za mną z płaszczem pod wieczór.

— Dokąd, wielmożny panie? uśmiechnął się Jonek, bo mu pewnie Nastka stanęła na myśli.

— Do Trocka — i Stanisław szybko popędził z dziedzińca, jak gdyby go kto gonił.

Skręcił na leśną drożynę, lecz minął domek gajowego, nie zapaliwszy cygara. Niezadługo spotkał Nastkę, z książką w ręku a zawiniątkiem pod pachą.

— Zkądżeż-to Nastko? — zapytał, lubo że dobrze wiedział, zkąd wracała.

— Z pałacu, od paniuni guwernantki, jaśnie panie — odrzekło dziewcze wesoło.

— A hauczyłaś-że się już czytać?

— O, przecie, jaśnie panie — i Nastka pokręciła głową, jak gdyby ją dziwiło to powątpiewanie panicza o jéj umiejętności.

— I cóż robi panna Anna?

— Zdrowiuśka.

— I kochasz-że ją bardzo?

— Bez mała, gdyby moją rodzoną! — zawołała dziewczyna szczerze. W oku pana Stanisława mignęło, a usta okrążył wyraz zadowolenia.

— A nie zapytasz-że się co Jonek porabia?— zapytał uśmiechnięty wesoło.

Dziewczę pokraśniało, *jak malina* — i spojrzało się na trzewiki swoje, czerwonemi związane wstążkami.

— Cóż, Nastko, czy nie zapytasz o Jonka?

Nastka bardziéj zczerwieniała jeszcze, szurgnęła nogą piasek i milczała.

— Jakto! więc nie dbasz wcale o Jonka?— zaśmiał się znowu Wojarowski, bawiąc się pomięszaniem dziewczęcia.

— Oj, z przeproszeniem jaśnie pana ... — poczęła jąkać się — bo .... bo ....

— Bo co?

— Bo .... bo to, aj .... niesktadnie ....

— Niesktadnie zapytać o niego?

— A jużci — odrzekła dziewczyna, oddychając wolniéj, jak gdyby jéj ciężar był spadł z piersi: wypowiedziała przecież co ją tłoczyło, a panicz zrozumiał.

— No, no, to ja ci powiem: że Janek zdrów i zobaczysz go dziś jeszcze. A po Wielkiéj Nocy stary Wojciech zostanie gumiennym, i Jonka zrobię stangretem. Bywaj zdrowa! — i pocwałował daléj.

Dziewczyna popatrzała za nim, rumiana, szczęśliwa — a potém pospieszyła do matki z tą nowiną pomyślną.

Gdy Stanisław do przedsionka pałacu wchodził, powracała Anna właśnie z biblioteki — z dużym zeszytem w ręku. Powitali się niemym ukłonem i uśmiechem: panna szybko wbiegła na wschody, a gość wszedł do pokoju.

Na dni parę przed Wielką-nocą, powrócił pan Rożniszewski z Alfonsem — i Anna wskazała się znowu na pozostawanie więcéj w pokoju swoim.

Widocznem było dla niéj, że młody Rożniszewski, wystrzegał się matki i siostry, lecz o ile dało się tylko, przybliżał się do niéj, by jéj słów kilka słodkich poszepnąć — i tém więcéj czuła się udręczoną.

— Pani w Mrowinie żyjesz u wszystkich i we wszystkiem — powtarzał jéj codziennie. Jesteś kochaną przez dzieci, a błogosławioną przez starych. Szanowny proboszcz nie ma słów dosyć na pochwałę pani .... Każdy krzewek, każde drzewo mówi mi o pani!... A jak mi z tém dobrze!... Kwiatki, które pani pozostawiłeś, pielęgnuję troskliwie ....

Wyrazy te tyle ponętne, spojrzenia namiętne i nadskakiwania, byłyby pewno zajęły młodą dziewczynę, gdyby ją rozbudzone już wcześniéj uczucie, od wszelkich innych wrażeń nie było zabezpieczyło. A pan Alfons zdolnym był młode zdobyć serce.

Stanisław wyjechał w Wielki piątek do przyjaciela na dni kilka — lecz święta innych gości naprowadziły licznie.

Święcone było wystawne, wykwitne — jak to zwykle lubiono w Trocku — wszystko na wielką skalę. Anna wszelako, wśród tego gwaru i zbytku, tém więcéj czuła się osamotnioną, obcą i smutną: zewsząd wiało zimno i raził blask próżności i dumy. W trzecie święto pocieszył ją list matki, donoszący o zupełnem polepszeniu zdrowia babki — i o nadziei rychłego do Warszawy powrotu.

Zegar alabastrowy na słupie z czarnego marmuru jedenastą godzinę ranną wydźwięczył. Klementyna podniosła się nieco z leżanki, wypuściła z ręki *Elle et lui*, najświeższy romans *George Sand*— i wzrok niby tęskny i smętny w ogród wysłała. Czoło jéj było chmurne, a lica zlekka przybladły.

Zastukano we drzwi — i Alfons zapytał: Czy wolno?

— Wolno! — odrzekła piękna jego siostrzyczka, odsunęła całkiem książkę w różowéj okładce, i ręką wypieszczoną białe potarła czoło, jakby dla odpędzenia niepoczcśnéj chmurki.

Alfons wszedł do pokoju.

— Dzień dobry *bellissima sorella! Come sta?*— uścisnął jéj rękę i rzucił się obok na fotel.

— *Bon jour* — odrzekła Klementyna sucho.

— Cóż tobie? — i zajrzał jéj w oczy. — *My soul is dark!* Zadumka cieni ci lica! *What have yon?*

— Nic mi nie jest. Czytałam....

— Staśko przyjechał, czy nie wiesz? — i ze znaczącym uśmiechem znowu zajrzał jéj w oczy.

— Nie wiem.... Czy istotnie?

Po licu panny nagle jaśniejszy przemknął promień — i zlekka zróżowiała.

— Wczoraj wrócił: gnany tęsknotą i żarem serca! — zadeklamował młodzian.

— Zapraszał do siebie na jutro, na polewanie ogniska wykończonego dworu... ale, ja jutro wyjeżdżam.

— Jutro już?

— Jutro, bo jestem potrzebny w Mrowinie.... A muszę być i w Warszawie. Niezadługo znowu tu będą. Tynio! a jakżeż tam? — i pochylając się ku niéj, głos zniżył — jakżeż stoicie ze Staśkiem?

Panna z dumnym rzutem podniosła czoło.

— On kocha się w tobie na umor, ale *po swojemu*, bo natura jego jest spokojna, chłodna, bez namiętności.... zresztą i nie lęka się niczego!.... Pokończy wszystko, *ganz langsam und bedächtig*, uporządkuje interesa, a potém dopiero złoży ci u stóp, na aksamitnéj poduszcze, klucze Grodzielska.

— At! — rozśmiała się Klementyna półgłośno i ramionami ruszyła.

— Możesz być pewną jego zapałów. Zacny chłopak, szlachetnéj duszy, ależ *kunktator* z niego! *Ganz bedächtig*, niby jaki Gierman, niby Szwab istny. Och! — targnął się za wąsy — potrzeba umieć panować nad sobą, chociaż w piersiach wre i kipi!... On tego nie potrzebuje.

Klementyna spojrzała zdziwiona niby — i z uśmiechem zapytała:

— Czyliż w twojéj piersi wre i kipi?

— Słuchaj.

„Czy mi jasno, czy mi ciemno,
I nademną, i przedemną."

— Widzę zawsze, zawsze, zawsze, dwoje wielkich, czarnych oczów!

— Kogóż to *persyflujesz*?

— Każdy kwiatek, każdy listek, każdy powiew mówi mi o niéj! Ptaszki jéj niosą mi nutę!

— Jakaż-to opanowała ciebie poetyczność!— zadrwiła, niewiedząc jak zrozumieć brata.

— Wszędzie jéj majaczeje mi postać!

— Och!

— Mysl o niéj, to modlitwa!

— Po cóż ten *persiflage!* — Klementynę dziwnie uderzył, wyraz jego twarzy.

— *Persiflage?!* — Nigdy mi poważniéj w myśli nie było.

— Czyliż to Lidja tak ciebie usposobiła?

— *Pas si bête!* — wyrzucił Alfons głową.

— Dla czego?

— Hrabianka Lidya nie raczyłaby się ze mną *mesaliować.*

— *Mesaliować? Vous radottez!*

— O, siostrzyczko! Te panie uważają nas jako *parweniuszów* i *basta!* Nie mówmy więcéj o tém!.... Zresztą, nie czułem i ja żadnéj *ardeur* dla pięknéj panny Mińskiéj.... Serca moje innemi oczami przepalone zostało.

— I jakież-to oczy?

— Czarne, gwiazdzisto-łagodne, słodkie, z głębią niedościgłą spojrzenia!

— O kimże mówisz? — zawołała nagłym przestraszona domysłem.

— W myśli i sercu jedno tylko dźwięczy mi imię: Anna!

— A! — porwała się panna — *Mauvaise plaisanterie!* Żart ckliwy!

— Sądź o tém co zechcesz, dla mnie ona jedna tylko!

— *Vous êtes fou! absolument fou!* — porwała się Klementyna. Ależ nie! Ty stroisz żarty. Chcesz mnie *mistyfikować!...* To żarty! — i zaśmiała się przymusowo — nastraszyłam się niepotrzebnie.

— A jeżeli nie żarty!

— Och, Alfonsie, przez miłość Boga! — Klementyna z przerażeniem zacisnęła dłonie — powiedz, przez miłość Boga!

Alfons porwał się, i szybko począł pokój przebiegać.

— Widzę, że grasz komedję ze mną! — patrzała się za nim z pół uśmiechem—ale niebawem znowu przerażenie na jéj wypiętnowało się licu.— Przystąpiła do niego, ujęła go za rękę, i przyciszonym, przez wzruszenie, wymówiła głosem:

— Alfonsku, powiedz, żeś żartował!

Alfons milczał.

— Powiedz! *Je vous conjure!* Drżę cała.

— Och! — Alfons głośnym wybuchnął śmiechem, a potém stanął przed nią, spokojny, wyprostowany. To i cóżby było tak nieszczęsnego?— zapytał — Jarosławska! Dawniejsza dziedziczka Mrowina! Śliczna! wykształcona! ceniona! uwielbiona.

(d. c. n.)